Nr. 22. Kraków, dnia 15 Listopada 1897. Rocznik II.

Adres Redakcyi i Administracyi:
ulica Floryańska L. 55, I. piętro.

Wszelkie Listy i przesyłki pieniężne adresować należy do Redakcyi lub Administracyi ulica Floryańska L. 55, I. piętro.

Rękopisów nie zwraca się.

Listów nieopłaconych nie przyjmuje się.

Listy reklamacyjne nieopieczętowane nie podlegają opłacie pocztowej.



Prenumerata wynosi:
W Krakowie:
(bez odsyłki),
rocznie . . . 1 złr. 20 c.
półrocznie . . — „ 60 „
kwartalnie . . — „ 30 „
W Austryi:
rocznie . . . . 1 złr. 40 ct.
półrocznie . . — „ 70 „
kwartalnie . . — „ 35 „
W Niemczech:
rocznie . . . . 3 marki.
We Francyi:
rocznie . . . . 5 franków

Numer pojedynczy 5 ct.

Do nabycia w Krakowie w Biurze dzienników Plac Maryacki L. 2.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

L. 26921i

W Imieniu Jego Cesarskiej Mości!

C. k. sąd krajowy, jako prasowy, na wniosek ck. prokuratora państwa, w myśl § 493 pk. orzekł, iż treść artykułów umieszczonych w nrze 21 pisma „Kuryer Kolejowy“ z daty Kraków 1 listopada 1897, a mianowicie; a) treść artykułu z napisem „Przegląd“ w ustępie od słów: „Kampania rządu, do... powinien sobie dobrze zapamiętać“ (str. 2) oraz b) treść artykułu z napisem „Kronika“ w ustępie od słów: „Obrazę Badeniego i Guttenberga do .... „sędzia był wyjątkowo zbyt sumienny“ (str. 3) zawiera przedmiotową istotę występku z §§ 491, 492, 493, u k. i z art. V ust. z 17 grudnia 1862 nr. 8/863 d. p. p. i dalsze rozszerzanie tych ustępów zostaje wzbronione. Powody. Autor w inkryminowanych ustępach, omawiając zakaz założenia organizacyi kolejarzy, tudzież omawiając rozprawę, która się odbyła 26 października b. r. przeciw Pernerstorferowi o obrazę władzy, bez przytoczenia szczegółowych okoliczności, obwinia J. E. hr. Badeniego i J. E. Guttenberga, jako ministrów odnośnie do ich urzędowej działalności o przymioty pogardliwe i wystawia ich na publiczne urągowisko, w czem mieszczą się znamiona występku z §§ 491, 492, 493, uk. i z art. V ust. z 17 grudnia 1862 nr. 8 ex 1863 dz. p. p.

Kraków, 6 listopada 1897 *Morelowski.*

System kar pieniężnych.

Trudno dziś doprawdy znaleźć odpowiednią nazwę dla określenia systemu rządzenia na kolejach państwowych. W którąkolwiek zwrócimy się stronę, gdziekolwiek zapuścimy ostrze skalpelu, wszędzie wyziera jakieś zło ciężkie a ciągłe, wszędzie jakaś wielka, ogarniająca wszystko wada, która wyciska silne piętno na całości stosunków. I jeżeli jesteśmy w kłopocie o nazwę, jeżeli zastanawiamy się nad wyborem odpowiedniego miana, to ten kłopot jest wynikiem tylko ogromu złego, z pośród którego każde wydaje się jeszcze za małe, jeszcze za mało wobec reszty mówiące. Ale nie o nazwę zresztą nam idzie; czy ten obecny system obdarzymy mianem systemu gwałtów i bezprawi, czy szykan i intryg, czy podchlebstw i protekcyjek, czy wreszcie systemu brudoty i sknerstwa, — zawsze istota złego tkwi głęboko w samych stosunkach i oplata, jako pasożytna roślina, pień dzisiejszego kolejnictwa.

A musimy też przyznać, że dzisiejsze sfery rządzące w społeczeństwie kolejowem wysiliły cały swój spryt, całą przebiegłość na to, aby temu swojemu systemowi dać mnóstwo środków i środeczków, zastosowywanych w rozmaitych chwilach celem przeprowadzenia przewodniej myśli. Jak wszędzie i zawsze, tak i tu nie były one w kłopocie i zrobiły też powoli ów system panem życia i śmierci ogółu kolejarzy, tyranem absolutnym, który ma na zawołanie pęk rózg i więcej, niż jeden, toporów, aby niesfornych zmusić do uległości. Chcesz być moim sługą, to musisz być sługą pokornym, ślepym niewolnikiem, bez własnych myśli i bez własnego życia. — innego wyjścia nie ma dla owego samodzierżcy. I stąd cały szereg najrozmaitszych kar, od nagany począwszy i idąc stopniowo przez lżejsze, średnie, cięższe kary pieniężne, przeniesienia, dyscyplinarki aż do zupełnego pozbawienia służby. Każdy z tych sposobów karania stanowi już dziś osobny system: na tem polu władze kolejowe odznaczają się niesłychaną nieraz skrupulatnością, a kary sypią się doprawdy, jak z niewyczerpanego rogu obfitości.

Będziemy mówili dziś tylko o jednym rodzaju kar, o karach pieniężnych. Kolejarzom tłómaczyć chyba zbyteczne, że te kary właśnie są najdotkliwszemi, że czyniąc dotkniętym ciężkie nieraz materyalne szkody, dadzą się nie bez słuszności porównać z karami cielesnemi, bo jak one, ciało doprowadzają częstokroć do wyniszczenia. Kary pieniężne są dziś na kolejach państwowych w nową tylko suknię ubranem barbarzyństwem dawnych kar cielesnych. Nawet laik bowiem, znający bardzo powierzchownie położenie niższych funkcyonaryuszy kolejowych, musi dojść do przekonania, że kary pieniężne są w dzisiejszych stosunkach potworną instytucyą, stojącą w rażącej sprzeczności z najprostszemi wymaganiami kultury i polityki społecznej.

Każdy człowiek, pracujący w jakimkolwiek zawodzie, ma prawo domagać się, aby praca jego dawała mu wystarczające utrzymanie. Kolejarz, oddający kolei cały zasób swoich sił fizycznych i umysłowych, powinien mieć zatem płacę, którąby mu dawała odpowiednie środki do życia. My wiemy jednak, że na austryackich kolejach tak nie jest, że, pominąwszy niewielką ilość dygnitarzy, wszyscy bez wyjątku funkcyonaryusze wynagradzani są źle i nieodpowiednio, że płace, śmiesznie nieraz małe, żadną miarą nie mogą wystarczyć na utrzymanie jednostki, tem mniej rodziny. A do tego dołączają się jeszcze kary pieniężne! Z tej marnej płacy musi się jeszcze oddawać część dla zadośćuczynienia „sprawiedliwości“! Czy to nie rzeczywiście monstrualne?! Następstwem tego jest, że nawet te niewielkie wynagrodzenia za ciężką pracę zmniejszają się częstokroć do znikająco małych rozmiarów. Dotkliwość tych kar staje się jeszcze bardziej widoczną, jeżeli uprzytomnimy sobie, że karani należą po największej części do najbiedniejszych kolejarzy. Ci właśnie najniżsi funkcyonaryusze, ci nędzarze, przeklinający codziennie chwilę, w której wstąpili do służby kolejowej, spotykają się najczęściej z karami ze strony władz i pp. przełożonych. Należy bowiem wiedzieć, że prawo nakładania kar ma w pierwszym rzędzie bezpośredni naczelnik, następnie dyrekcya i wyższe władze, a dodawać nie trzeba, że każda z tych władz korzysta skwapliwie z swego prawa. Wypadek więc nie rzadki, że budnik, strażnik lub inny niższy kolejarz zostaje obdarzony w ciągu miesiąca karami rozmaitej wysokości z rozmaitych stron. Jeżeli dalej zważymy, że i tak istnieje u nas cudowny system przeróżnych „abzugów“, to możemy sobie przedstawić, jak gwałtownie nieraz spada miesięczna płaca tych zwłaszcza kolejarzy, na których przełożeni baczniejszą zwracają uwagę. Znamy budnika, który pobierając rzekomo 22 złr. miesięcznie, dostawał w rzeczywistości przez dłuższy czas 7 złr. 60 ct; reszta — po odtrąceniu zwykłych „abzugów“ — poszła na kary! Za cały miesiąc pracy dać człowiekowi 7 złr. 60 ct., to naprawdę cyniczna odwaga...

Ale powie kto może: kary istnieją tylko dla tych, którzy na nie zasłużyli, w każdego rękach jest być wolnym od kar wszelkich. Przyznajemy, że tak jest w teoryi, ale jakżeż inaczej przedstawia się praktyka! Istota dzisiejszego systemu rządzenia na kolei wprost wymaga tego, aby nakładać kary nie na winnych istotnie, ale na tych, którzy się władzy, albo temu lub owemu przełożonemu nie podobają. Kary piepieniężne stały się dziś tym środkiem, o którym mówiliśmy wyżej, środkiem zmuszania do uległości i pokory. Dziś rzeczy tak stoją, że prawie we wszystkich wypadkach nie można powiedzieć, za co kto został ukarany; zależy to w zupełności od złej i dobrej woli rozmaitych naczelników, szefów, dyrektorów i t. p. Są tacy dygnitarze, którzy odznaczają się wprost manią nakładania kar pieniężnych, drażniąc w ten sposób i sekując podwładnych. Na innem miejscu podajemy przykład takiej manii w osobie naczelnika ogrzewalni w Podgórzu. A nasze warsztaty krakowskie, a warsztaty nowosądeckie, a zresztą każda prawie stacya w Galicyi, — ileż tam podobnych przykładów, ile dowodów bezmyślnej i złośliwej sekatury, wylewającej jad swój w karach pieniężnych! Najdrobniejsze przewinienie, najmniejsze uchybienie w okazaniu n. p. oznaków uszanowania przełożonym, już staje się powodem kary. Częstokroć źle przespana noc, zły humor p. naczelnika wystarcza już do naznaczania kary pieniężnej. „Panie naczelniku“... zaczyna bełkotać, usprawiedliwiając się, napadnięty za jakieś „przekroczenie“ robotnik. — „Milczeć!“ i za tym gromem w ślad spada na głowę wystraszonego człeka 50 ct., 1 złr. i więcej kary. Oto w ogromnej liczbie przypadków jedyne powody kar pieniężnych. Czyż wobec tego płace robotnicze na kolei nie są poprostu fikcyjne?...

Omawiając zło, które tkwi w systemie kar pieniężnych, musimy w końcu oświadczyć, że bynajmniej nie łudzimy się co do łatwego i szybkiego jego wykorzenienia. Zbyt dobrze niestety świadomi jesteśmy ścisłego związku, jaki zachodzi między karami pieniężnemi a całym dzisiejszym sposobem kierowania nawą kolejową. Jeżeli zaś staraliśmy się oświetlić dokładnie sprawę tych kar dotkliwych dla wszystkich kolejarzy, to przedewszystkiem z tego względu, aby wykazać, jak każda strona życia niższych funkcyonaryuszy kolejowych wzywa ich do energicznego i wytrwałego zwalczania dzisiejszego systemu rządów. Chcecie usunąć te kary, z których najmniejsza nawet znaczy dla was częstokroć brak najniezbędniejszych środków do życia, znaczy głód dzieci waszych choćby i przez jeden dzień tylko, — to musicie sięgnąć głębiej, do istoty rzeczy i zwalić całą tę budowę, piętrzącą się na waszych barkach i przygniatającą was swym ogromem.

PRZEGLĄD.

Poseł Daszyński i tow. wnieśli na posiedzeniu Izby poselskiej z d. 9 listopada w sprawie konfiskaty „Kuryera Kolejowego“ następującą interpelacyę, w której zapytują ministra sprawiedliwości, jak zdoła podobny system konfiskat usprawiedliwić.

„Kampania rządu przeciw organizacyi kolejarzy przybiera coraz potworniejsze rozmiary. Trzy zakazy założenia nowych organizacyj miały już epilog przed trybunałem państwa; najwyższa instancya sprawiedliwości orzekła wówczas, że nie ma w tych zakazach naruszenia ustaw zasadniczych. Opierając się na tem orzeczeniu, zaprzeczającem przekonaniu wszystkich rozsądnych obywateli państwa, rząd dalej uprawia względem kolejarzy politykę najdziwaczniejszych zakazów. Dwa nowe podania o założenie organizacyi, jedno tow. Artbauera („Union“), drugie tow. Huebera („Związek zawodowy służby transportowej“) odrzucono z cytowaniem tych samych, co przedtem, powodów. Rząd widzi ciągle w tych nowo mających się założyć stowarzyszeniach chęć przedłużenia rozwiązanej organizacyi, która przecież została rozwiązaną, jako „staatsgefährlich“. Widmo tej potężnej i groźnej organizacyi stoi dotąd jeszcze przed oczyma p. Guttenberga i jego to strach przed tą kontrolą, która mu się dobrze dała we znaki, jest właściwym bodźcem dla rządu do odrzucania wszelkich statutów nowych stowarzyszeń. Ale jeśli dawne zakazy miały choć pozór prawdziwości, jeśli mogły się mianowicie opierać (zresztą na zupełnie niedozwolonym) zarzucie, że nowe statuty są identyczne z dawnemi, to teraz nawet ten rzekomo słuszny powód zakazów odpada, bo wniesione obecnie statuty brzmią zupełnie odmiennie. Zakazy te są więc już chyba zbyt jaskrawem nadużyciem, aby można było zgodzić się na wyroki najwyższego trybunału, który w nich znowu nie widzi nic zdrożnego. Za przykładem ministerstwa spraw wewn. idą rządy krajowe; gdziekolwiek wniesiono statuty stowarzyszeń kolejowych, wszędzie otrzymywano je napowrót z tym samym motywem, z tem samem wieszczem niejako przepowiadaniem, że nowe stowarzyszenia mają być „groźne dla całości państwa“. Jasnem jest już dzisiaj, że to prawdziwy bojkot rządu przeciwko kolejarzom, stanowiący zawieszenie prawa stowarzyszania się dla jednej gałęzi pracy. Rząd, w którym zasiada Badeni i Guttenberg, nie życzy sobie, aby „słudzy państwa“, kolejarze, organizowali się przeciwko wyzyskowi przedsiębiorstw kolejowych, bo tym wyzyskiwaczem jest właśnie państwo. Badeni i Guttenberg robią w ten sposób z państwa najbrutalniejszego kapitalistę, który mając władzę w ręku, nie pozwala swoim robotnikom nawet na to, na co inni przedsiębiorcy pozwolić muszą. Zakazem nowej organizacyi chce rząd pozbawić kolejarzy jedynej obrony przeciwko krzywdom i uciskowi panującego dziś na kolejach systemu, chce ich wydać bezbronnych na łup wyzysku, zaprządz do jarzma cichych i pokornych. Od szlachetnego przeciwnika wymaga się, aby nie opadał bezbronnego wroga, aby zmierzył się z nim w chwili, kiedy będzie na równi z nim uzbrojony. Ale rozbrajać wroga i opadać go zdradziecko w chwili, kiedy nie ma się czem zasłonić, ale bezbronnego spętać i mścić się nad nim, to jest zwykłe, nikczemne

tchórzostwo. I to p. Guttenberg, jako oficer austryacki, powinien sobie dobrze zapamiętać...“

Hr. Badeni oświadczył znowu w parlamencie w mowie nad postawieniem go w stan oskarżenia, że przed niczem się nie cofnie i w żaden sposób nie ustąpi z zajmowanego stanowiska. Minister konstytucyjnego państwa, oświadczający, że przed żadną opozycyą nie ustąpi, — to znak charakterystyczny dla dzisiejszych stosunków w Austryi. Gdyby u nas konstytucya była istotną, żywą, to Badeni dawno musiałby już był powrócić do rodzinnego Buska. Ale oto prezydent ministrów odważa się w parlamencie zaznaczać swoje odrębne wobec konstytucyi stanowisko, ośmiela się, mając się usprawiedliwić, jako oskarżony, występować z groźbami i przemawiać w tonie absolutyzmu. W ten sam sposób groził przedtem minister skarbu Biliński w komisyi budżetowej, że w razie oporu parlamentu przeciwko prowizoryum ugodowemu, rząd będzie musiał załatwić je w drodze rozporządzenia cesarskiego, na podstawie § 14 ust. zasadniczych. Słowem wszędzie, na każdym kroku, groźba rządów bez parlamentu. Ministeryum Badeniego nie obwija rzeczy w bawełnę: Badeni już raz okazał zdolności rządzenia na podstawie rozporządzeń z „konieczności“, a obecnie pokazuje się, że w jego pojęciu parlament jest tylko złem koniecznem, które należy omijać, kiedy i jak się tylko da, jest instytucyą, która wprawdzie istnieje, ale która jeszcze lepiej mogłaby i powinna nie istnieć. A mimoto oświadczenia Badeniego, że nie myśli się cofać, nie myśli ustąpić, dziwnie jakoś wyglądają wobec faktycznego stanu rzeczy. Jedyna nadzieja obecnego ministeryum leży w prowizoryum ugodowem. Tymczasem uchwalenie tego prowizoryum staje się coraz mniej pewnem, a groźba Bilińskiego pogorszyła jeszcze sytuacyę. Obstrukcya odżyła na nowo: już nie krzykami (choć i tych nie porzuciła), ale długiemi, nawet 12-godzinnemi mowami trzyma obrady parlamentu w swoich rękach. W komisyi budżetowej istnieje ona również i zaznacza się silnie: i tu przedłużają się obrady, zwleka się z załatwieniem sprawy, słowem nadzieję Badeniego odsuwa się coraz dalej. Być może, że rząd daje wiele na znaną „energię“ nowego prezydenta izby, Abrahamowicza, który obecnie po ustąpieniu Kathreina, dzierży dzwonek parlamentarny. Ale właśnie osoba nowego prezydenta pogorszy wszystko; Abrahamowicz bowiem tak jest znienawidzony przez całą opozycyę wskutek nietaktownego, niehonorowego nawet postępowania, że obstrukcya nie będzie wobec niego przebierała w sposobach. I ta nadzieja rządu, że Abrahamowicz będzie umiał obstrukcyę trzymać w rygach, okaże się z pewnością zawodną. W samej zresztą Izbie rząd hr. Badeniego ma bardzo małe poparcie: a choć teraz, podczas debaty nad oskarżeniem ministrów, Młodoczesi wysyłają już generalnych obrońców, to przecież głosowanie nad ostatnim wnioskiem o oskarżenie wykazuje jasno, jak kruchą jest ta większość, ta podstawa, na której opiera się hr. Badeni. Tylko sześć głosów przeważyło szalę na stronę rządu, który przeto o mało co nie znalazł się na ławie oskarżonych. Sześć głosów większości i to skorumpowanych głosów znikczemniałej opozycyi polskiej, — oto podpora hr. Badeniego! Gdzież więc ta pewność, że rząd dzisiejszy nie będzie musiał ustąpić, gdzież te widoki na przyszłość, które hr. Badeniemu tak silnie każą wierzyć, że pozostanie nadal na godności prezydenta ministrów? Nam się zdaje, że te nadzieje, te różowe horoskopy hr. Badeniego, to przedśmiertne uczucie suchotnika. Jak ten, leżąc na łożu śmierci, snuje jeszcze dalekie plany na przyszłość, tak i Badeni, dziś już suchotnik polityczny, nie widzi zbliżającego się końca. Ale jeśli wobec suchotnika jesteśmy zawsze na tyle względni, że razem z nim nawet mówimy o tych jego projektach i marzeniach, to dla umierającego polityka w rodzaju Badeniego nie mamy bynajmniej litości. Okrutną ręką zdzieramy mu z oczu zasłonę ułudy i pokazujemy rzeczywistą, a bliską przyszłość. Obstrukcya w parlamencie, obstrukcya w komisyi budżetowej, jeszcze kilka wniosków o oskarżenie, a na to wszystko sześć głosów większości (i to dosyć jeszcze niepewnych), — to chyba aż zbyt wyraźna zapowiedź zgonu.

Stojałowszczycy i ludowcy otrzymali nareszcie gratulacye i serdeczne uściski rąk od panów polskich. Bratnie dusze prędzej czy później zejdą się i poznają zawsze... Sześć głosów tych polskich, „opozycyjnych“ posłów wyratowało rząd hr. Badeniego z strasznego kłopotu. Danielak i Bojko, Szponder i Krempa, i ci wszyscy inni „obrońcy“ chłopa polskiego stali się dziś zbawcami Badeniego i zasłużyli sumiennie na wdzięczność swojej „starszej braci“, posłów z Koła polskiego. To też Lewicki i Rutowski i jak się tam nazywają ci wszyscy lokaje stańczykowscy, ściskali z wzruszeniem dłoń zacnych „posłów z woli ludu“, pasując ich tem na godnych rycerzy Koła. Szlachetna, dobra, prawdziwie polska natura chłopa polskiego zwyciężyła; nie dali się oni uwieść podszeptom złych duchów i znowu, jak dawniej, z polską szlachtą polski lud szedł ręka w rękę... Nic chyba lepiej nie charakteryzuje tych ludowych posłów, jak właśnie ten postępek. Śmiesznem jest tłómaczenie, że chodziło tu o kwestyę; słowianin czy nie słowianin: to była walka rządu z opozycyą, walka, która się mogła śmiertelnie skończyć dla rządu i w tej walce stojałowszczycy i ludowcy stanęli po stronie Badeniego. Od samego początku zresztą panowie z Koła polskiego postępują z „swoimi“ chłopami jak z parobkami, każąc im wyrzucać posłów opozycyjnych, bronić Badeniego lub Abrahamowicza itp. Opozycyjni chłopi polscy okazali teraz, że i oni nadają się do takich posług. Słowa oburzenia, jakie padały na głowy tych zdrajców ludu z ław niemieckiej opozycyi i frakcyi socyalistycznej, były jeszcze za małą karą. Wyborcy tych nowych „sług badeniowskich“ dadzą im poznać za przybyciem do kraju, że nie wolno im kpić bezczelnie z przyrzeczeń, jakie im dali, nie wolno zdradzać nikczemnie haseł, które sami niegdyś rzucali. Zaszczyt uratowania Badeniego będzie drogo tych panów kosztował.

Pogrom stańczyków.

Pan Czesław Kieszkowski, kradnąc publiczne fundusze, rabując swoją rodzinę i serdecznych swoich przyjaciół starostów pp Laskowskiego (20.000) i hr. Starzeńskiego (32.000), dokonywał w jaskrawych formach tylko owych ostateczności, które czekają gospodarkę publiczną owej kliki stańczykowskiej, trzęsącej krajem pod troskliwem okiem Badenich. Defraudant Kieszkowski przyspieszył tylko chwilę bankructwa moralnego i społecznego owych wspólników, którzy przy ubiegłych wyborach zostali zdemaskowani pod względem politycznym, a u stóp carskich pozbyli się w lecie wszelkiej godności narodowej.

Aby zrozumieć całe znaczenie defraudacyi w krakowskiem Towarzystwie wzajemnych ubezpieczeń, trzeba przyjrzeć się szeregowi lat ostatnich. Na czele instytucyi milionowej, o której prasa (kupiona sążnistemi, drogo płaconemi inseratami) pieje hymny, jako o środku narodowego bogactwa, stał stary Henryk Kieszkowski, człowiek uparty, wielkość przeżyta. Pod jego kierownictwem dobija się coraz to większego wpływu syn ukochany, Czesławek, aż obejmuje w końcu dział ubezpieczeń na życie, zachowując jednak równocześnie agencyę Towarzystwa. Pan Czesław to jednak tylko jeden z wielkiej „familii“, która jak gromada pasożytów obsiadła Towarzystwo... Obok niego mnóstwo eleganckich próżniaków, lub zbankrutowanych egzystencyj, pobierających spore pensye i patrzących z góry na obok pracujących pospolitych „mieszczan“. System ten z centrali krakowskiej przeniósł się do filij prowincyonalnych i tutaj górą szlachetczyzna, arrogancka, próżniacza, nieświadoma pracy.

Ale nietylko w ten sposób gospodarowano, że nie liczono się skrupulatnie z każdym groszem cudzym; „Floryanka“ robiła interesa w pożyczkach hipotecznych do wysokości np. w roku ubiegłym 6 milionów koron! Szlachta korzystała tutaj z szczególnego rodzaju kredytu hipotecznego, umieszczonego na drugiej hipotece po banku hipotecznym. Gdyby ten interes hipoteczny dokładnie zbadać, to kto wie, czy jeszcze większy krzyk nie podniósłby się wśród okradzionych członków Towarzystwa.

W takiej to atmosferze działał p. Czesław. Należał on do „panów stworzenia“ w Galicyi, razem z wyższą biurokracyą i z magnateryą, która przywykła uważać ten kraj za swój podwładny. W Towarzystwie krakowskiem złączyły się nazwiska Kieszkowskich z takiemi, jak hr. Męciński (prezes komitetu wyborczego!) Dembowski, hr. Klemens Dzieduszycki, hr. Antoni Wodzicki, hr. Andrzej Potocki, hr. Romer, Słonecki i t. d. Podczas wyborów była w Floryance główna kwatera, gdzie przebywał sztab stańczykowski, a urzędnicy pracowali nad ułożeniem odpowiedniego spisu wyborców. Oni dawali także narodowi sędziów przysięgłych w największej masie! Przypominamy sobie tych obywateli z rozpraw sądowych, w których nasi redaktorowie stawali przed sądem...

Wszystko to były skutki owej pieniężnej potęgi, znajdującej się w ręku stańczyków. A jak wyglądała ta potęga wewnątrz? Czesław Kieszkowski, ów wesoły karciarz i kobieciarz, czerpał z kasy już oddawna. Jeszcze przed kilku laty wykryto bagatelkę 30.000 złr., które brakowały w kasie! Kontrola dała mu kilka dni do „poprawy“ i p. Czesław pieniądze złożył. Na świecie jednak nikt o tem nie wiedział, a spólnicy moralni, ci którzy defraudacyę wykryli, nikomu o tem słowa nie pisnęli. Potem zaczął kraść siostrzeniec Kieszkowskiego, niejaki Leszczyński, zwany „królem“ dla swej arystokratycznej postaci. Ostrzeżono go, a gdy już zdołał umknąć, musiano światu ogłosić częściową bodaj prawdę.

Tymczasem p. Czesław zawichrzał się na giełdzie i w rozmaitych naftowych spółkach, obliczonych na udział maleńkich „kapitalistów“, odkładających grosz krwawo zaoszczędzony na starość, na czarną godzinę. Kiedy nie starczyło, sięgał p. Czesław do kasy lub okpiwał swoich najlepszych przyjaciół, wyłudzając od nich podpisy na weksle. W ten to sposób zapłacili pp. Laskowski i Starzeński spore sumki, w ten sposób siostra p. Czesława i jego znajome panie postradały wielkie sumy. Im bardziej zaszargał był swój honor, tem bardziej stawał się wpływowym. Był w kasynie szlacheckiem gospodarzem i najwpływowszym członkiem; mnóstwo ludzi udawało się doń w przeróżnych sprawach, a on jak potentat finansowy je rozstrzygał.

Aż doczekał się końca. Wbrew zaprzeczeniom i arroganckim sprostowaniom dyrekcyi, wykryto na jaw sprzeniewierzenia w Towarzystwie ubezpieczeń. Trzeba było więc najpierw ratować „kochanego Czesława“! Uwiadomiono go o tem, że został suspendowanym, a gdy już uciekł, dano znać prokuratoryi.

Ta poszukuje go od dwóch tygodni bezskutecznie...

Teraz, kiedy wreszcie opinia publiczna została obudzoną, jest całkiem obojętną rzeczą, czy Kieszkowskiego schwycą i ukarzą, czy nie. Nie chodzi tutaj bowiem o jednostkę, lecz o cały system, o całą możną klikę, która rządziła Galicyą za pomocą swoich wpływów.

Nauka, którą publiczność zaczerpnęła z tej smutnej sprawy, nie pójdzie już na marne; tym, którzy dotychczas uciskali lud, jak wrzód obierający na ciele, popsuto gruntownie interes, a grzechy ich przypomni im ten lud przy najpierwszej okazyi. Wyłom, zrobiony w kasach Towarzystwa przez Czesława, jest zarazem wyłomem w szańcach stańczykieryi, za którymi kryła się ona przed naporem ubogich, uczciwych żywiołów w Polsce.

Pod pręgierz.

Podgórze. Ruch pociągów ciężarowych w Podgórzu jest — jak wiadomo — bardzo znaczny tak, iż nie wystarcza służbowych wagonów i musi się dodawać t. zw. „pakwagony“. W tem nie byłoby jeszcze nic złego, ale cóż, kiedy wagony nie są zupełnie grzane i kierownicy manipulacyjni muszą urzędować w zimnych wagonach i narażeni są w ten sposób na ciągłe niebezpieczeństwo zdrowia. Jechać w zimie w nieopalonym wagonie, to chyba niewielka przyjemność, a cóż dopiero pracować w takim wagonie, gdzie ręce poprostu kostnieją. Zato, jak jedzie jaki pan ze złotym kołnierzem, czego to nie wymyślą, aby mu było jaknajcieplej i najwygodniej, chociaż wiadoma rzecz, że taki złotokołnierzowiec nie pracuje nigdy i nie pełni służby w wagonie. Dla biednych konduktorów wystarcza — podług mniemania dyrekcyi — i nieopalony wagon... Dziś już, kiedy właściwie jeszcze mrozów nie było, marznie wszystko w takim wagonie, całe jedzenie, które sobie kto weźmie na drogę, — cóż dopiero będzie w zimie? Czy dyrekcya zamyśla nas w ten sposób „hartować“? Dziękujemy, ale prosimy zacząć od siebie... *K. K.*

Podgórze. (Z tutejszej ogrzewalni). Dotąd mało jeszcze pisaliśmy o stosunkach w tutejszej ogrzewalni, bo jakkolwiek nie mieliśmy tu wcale rozkoszy, jednakowoż panował tu jeszcze względny spokój; urzędnicy nas nie szykanowali, owszem obchodzili się z nami po ludzku, a również i były naczelnik był od biedy nie najgorszym przełożonym. Z chwilą jednak przybycia nowego naczelnika, p. Uderskiego, stosunki zmieniły się na gorsze do tego stopnia, że nawet nas, pogrążonych dotąd w apatyi i bezmyślności, potrafiły poruszyć i oburzyć do żywego i dlatego postanowiliśmy napiętnować je publicznie.

P. Uderski został tu przeniesiony z Żywca, skąd musiał uciekać z obawy przed doraźnym odwetem tamtejszego personalu, na którym dopuszczał się najrozmaitszych sekatur i bezprawi. Przybywszy do nas, jął tu zastosowywać te same praktyki, tj. szykanować ludzi i za najlżejsze przewinienia lub też całkiem bezpodstawnie okładać biednych robotników, ojców licznych rodzin, wysokiemi karami pieniężnemi. I tak n. p. przed kilkunastu dniami wyznaczył kilku maszynistom, palaczom i robotnikom kary pieniężne w sposób wysoce cyniczny, bo im kto miał liczniejszą rodzinę, tem wyższą otrzymał karę. Podobne napady są u p. Uderskiego chronicznemi, bo nie upłynie miesiąc, aby nie ściągnął 30 do 50 złr. kar i to po największej części z najbiedniejszych, którzy pracując prawie bez wypoczynku, nie mają czem wyżywić rodziny, skoro blisko połowę zarobku pożerają kary.

Ażeby szerszemu ogółowi dać dosadniej poznać podłe postępowanie tego panka, nie od rzeczy będzie podać tu charakterystykę jego osoby. Przepraszamy już naprzód czytelników za przykrość, jaką im wyrządzimy przedstawieniem takiej osobliwości, ale dobrze jest poznać

wszystko zbliska. Otóż ten p. Uderski, kreatura zresztą zewnętrznie kardzo mało do człowieka podobna, odznacza się przedewszystkiem iście szatańską przebiegłością. W jednej chwili można go widzieć w kilku miejscach naraz, zawsze tam, gdzie go najmniej się spodziewają, wszędzie jak mysz się wśliźnie. Jego niespokojne lisie oczka dostrzegają najmniejszej drobnostki a nos węszy wciąż za przestępcami, co dowodzi, że jego właściciel minął się z powołaniem, że odpowiedniejszem byłoby dla niego zajęcie.... ajenta policyjnego. P. Uderski czyni to wszystko naturalnie w nadziei szybkiego awansu i remuneracyi. Ale my musimy mu wejść tym razem w drogę i zapytujemy świetną dyrekcyę, czy leży w jej interesie, aby takie indywiduum znęcało się nad ludźmi, wtrącało ich w otchłań nędzy i niedoli nakładaniem na nich wysokich kar pieniężnych za lada błahostkę, za którą częstokroć wystarczyłaby ustna nagana? My nie sądzimy, żeby p. Uderski z wyższego polecenia chwytał się takiego postępowania, tembardziej, że wyższe władze okazały się wobec niego bardzo względnemi, skoro za rozmyślne wstrzymanie ruchu na całe 24 godzin ukarały go tylko delikatnem napomnieniem p. Horoszkiewicza. Niechże więc dyrekcya wglądnie w gospodarkę tego kacyka i pohamuje nieco jego zapał do nakładania kar, abyśmy nie byli zmuszeni sami w doraźny sposób wyleczyć go z tej słabości.

Podwładni.

Skawina. (Kumoterska opieka). Bodajto mieć kumotrem naczelnika! Takie westchnienie wydobywa się z piersi niejednemu może, kto zna tutejsze stosunki i zażyłą przyjaźń osławionego restauratora Kozłowskiego z p. naczelnikiem. Stosunek ten może być w samej rzeczy powodem słusznej zazdrości, bo jak wiadomo, Kozłowskiemu pod ojcowską opieką naczelnika dzieje się tak dobrze, że nawet karząca ręka sprawiedliwości nie jest w stanie go dosięgnąć. To pewna bowiem, żeby kto inny, tak jak on, działał na szkodę instytucyi kolejowej, byłby już dawno nietylko za dziesiątą górę przeniesiony, ale zupełnie oddalony. Jemu jednak nic się dotąd nie stało, pomimo, że tylekrotnie wykazywaliśmy już jak on zaniedbuje obowiązków i jakich dopuszcza się nadużyć. Dziwna to tolerancya władz kolejowych... Tak np. wdrożono niedawno Kozłowskiemu śledztwo za pobicie Zapałowicza (o czem pisał też „Kuryer“); zdawało się wówczas, że krucho z nim będzie. Atoli po długich dochodzeniach okazało się, że wszystko to było szopką, bo Kozłowski dostał zaledwie 5 złr. kary. Zapałowicz za to został przez naczelnika wydalony, a choć mu w dyrekcyi oświadczono, że nic o tem nie wiedzą dotąd do służby nie wrócił. Czyż to więc nie rzuca ponurego światła na tutejsze stosunki i sprawiedliwość władz kolejowych? Czyż to nie jest wprost ohydnem naigrawaniem się z niedoli ludzkiej?! Nas nie dziwi, że tutejszy naczelnik, ten obłudny świętoszek, który niemal co tydzień się spowiada, pojmuje w ten sposób miłość chrześciańską, — bo to jest właśnie jeden z warunków dzisiejszej religijności, propagowanej przez jezuitów, dziwi nas raczej obojętność dyrekcyi, która toleruje ludzi, działających wprost na szkodę instytucyi kolejowej. Ale tu nie koniec jeszcze krętactwom, jakie się dzieją na korzyść Kozłowskiego. Przed paru tygodniami namówił Kozłowski urzędnika ruchu, by znajdujący się na stacyi wóz z towarem eksplodującym wyprawił którymbądź pociągiem, co też urzędnik uczynił, nie uwiadomiwszy jednak o tem Podgórza, spowodował wypadek, który mógł mieć groźne następstwa, gdyż wóz ów został rozbity przy szybowaniu i dziwnym trafem towar nie eksplodował. Dyrekcya wdrożyła w tej sprawie dochodzenie i wszystkim uczestniczącym w niej, niektórym zupełnie niewinnym, wytoczyła dyscyplinarki, jeden tylko Kozłowski zdołał się w jakiś ciekawy sposób wykręcić od odpowiedzialności. Czyżby może i tu miała odegrać ważną rolę kumoterska opieka?...

Kęty. Musimy tu napiętnować postępowanie naczelnika Voitla. Człowiek ten rozzuchwalił się do tego stopnia, że wykracza bezczelnie już nawet przeciw ustawie karnej. Zwrotniczy Deszcz, o którym pisaliśmy w poprzednim numerze, a który, dzięki p. Voitlowi, został pozbawiony służby, udał się w pewnej sprawie do niego. Ale zaledwie go p. Voitl zobaczył, rzucił się na niego i zaczął go bić tak, iż nadwerężył mu szczęki, złamał ząb i w kilku jeszcze miejscach uszkodził cieleśnie. Orzeczenie sądowo-lekarskie uważa Deszcza wskutek tego pobicia za niezdolnego do pracy przez 3 dni. Brutalny ten napad tego zuchwałego szwaba, który przytem rzucał obelgi na pobitego w rodzaju: „du polnisches....“, będzie miał zpewnością zakończenie przed kratkami sądowemi. Wówczas zobaczymy, jak p. Voitl będzie się usprawiedliwiał. Dziś pewnem jest, że taki p. Voitl powinienby być natychmiast ze względu na bezpieczeństwo publiczne usuniętym ze służby. Kolej północna nie potrzebuje chyba dla dopełnienia raju, jaki przedstawia dla personalu, jeszcze pijaków ze zwierzęcemi instynktami na posadach naczelników.

Tarnów. Nie mogę pisać szczegółowo o tem, co się dzieje na stacyi w Tarnowie, nie mam bowiem przyjemności należeć do podwładnych p. Koszyka i Ski. Ale jako przejezdny, opowiem w kilku słowach to, co mię najbardziej dotyczy. Otóż o nieporządkach, panujących w Tarnowie, świadczy to, że w koszarach kolejowych ogromny brak łóżek. Nie ma już dziś prawie wypadku, żeby konduktorzy nie musieli spać na ziemi, zastawszy łóżka, zajęte już przez tych, którzy poprzednio przybyli. Dla 20 konduktorów krakowskich, t. j. dla 3—4 partyj, które tu często razem przybywają, jest tylko 8 łóżek. Trudno, żeby się na nich wszyscy pomieścili i możemy też sobie pomyśleć, jak ogromnie rozkosznym jest dla zmęczonych pracą ludzi sen na gołej, zimnej i niezbyt czystej podłodze. Podczas lata to jeszcze jako tako było: człek kładł się gdziebądź, na trawniku pod gołem niebem i cieszył się, że przynajmniej natura daje mu to, czego nie chce dać dyrekcya i sekcya tarnowska. Ale teraz, mrozy, zapowiadające się już wcale pokaźnie, powinnyby być najlepszą dla p. Koszyka i jego przełożonych z dyrekcyi wskazówką, że już najwyższy czas pomyśleć o łóżkach w koszarach. Już bo my tacy jesteśmy, że wbiliśmy sobie w głowę, że jak są koszary, to chyba nie na to, aby nie można się w nich było nawet przespać. Sądzimy, że żądanie należytego wypoczynku na czemś, coby przynajmniej mogło nosić nazwę łóżka— to jeszcze nic tak strasznie niemożliwego do wypełnienia.

Konduktor.

Rzeszów. Do rzędu figur urzędniczych, które komizmem swoim właściwie rozbrajać powinny, należy tutejszy urzędniczyna p. Holzer. Trzeba tylko widzieć, jak ten pan przeobraża się pod wpływem czerwonej czapeczki, którą wdziewa od czasu do czasu, pełniąc służbę ruchu Ha, to sobie wtedy używa za wszystkie czasy. Cała stacya rozbrzmiewa jego donośnym głosem, p. „naczelnik“ biega tu i tam, krzyczy, komenderuje, macha i wywija rękami, słowem bardzo czynny i energiczny człowiek. Robi to wprawdzie nieco komiczne wrażenie i możnaby zakończyć sylwetkę p. Holzera zapewnieniem, że chcąc wywołać grozę, wywołuje niestety śmiech, — gdyby nie to, że „dzielny“ p. urzędnik posuwa się zbyt często do grubijaństw i gróźb, które mu dają znakomite polecenie na karbowego w folwarku. P. Holzer staje się po prostu... ordynarnym. Wprawdzie nie dotykają nas bynajmniej jego wyzwiska, świadczące tylko o nim samym jak najgorzej, ale chcielibyśmy mu tylko oświadczyć, że jako lepiej od niego wychowani, nie przyzwyczajeni jesteśmy do podobnych scen i nie myślimy ich bynajmniej dłużej cierpieć. Może p. Holzer po przeczytaniu tych kilku słów, zmieni swój sposób kierowania ruchem, bo zresztą przeciwko jego „energicznemu“ rzucaniu się po stacyi nic nie mamy. Mój Boże! Tak mało mamy rozrywek, że nie chcielibyśmy się bynajmniej pozbawiać tego komicznego widoku. Tylko troszeczkę grzeczniej..

Rz.

Nowy Sącz. (Dalszy ciąg od drze Kijasie). Sylwetki o „ludzkiem“ pielęgnowaniu naszego zdrowia przez p. Kijasa są tak mnogie, że szkoda zresztą poświęcać miejsca w piśmie na ich bodaj częściowe omówienie. Ktoby chciał przekonać się o słuszności naszych wywodów, tego odsyłamy do kolejarzy, którzy pozostają pod jego kuracyą, — a zobaczy, że p. Kijas jest wszystkiem innem, tylko nie lekarzem kolejarzy - robotników. Mybyśmy chcieli widzieć p. Kijasa bodaj jeden tydzień w naszem położeniu, szczególnie w porze zimowej, kiedyto trzeba włóczyć się po śniegach, a zmrożone żelazo chwyta poprostu za palce; chcielibyśmy widzieć p. Kijasa choć raz tak, jak my, zasmarowanego, oddychającego podczas ciężkiej pracy najróżnorodniejszemi wyziewami, połączonemi z pyłem i t. p. O, wtenczas przyznałby może p. doktór, że, jeżeli stalowe maszyny ulegają zniszczeniu, to i organizm ludzki nadwyrężyć się musi. Ale p. Kijas, spokrewniony z domem bogatej firmy handlowej, któremu chyba tylko ptasiego mleka nie dostaje, miałby pojęcie o zniszczeniu sił roboczych, o potrzebie wytchnienia w czasie słabości? To też i nie dziw, że z całego dotychczasowego postępowania widzieliśmy obojętność, nawet w nagłych wypadkach i pewne lekceważenie, z jakiem się każdorazowo z nami obchodzi. I oto dziś już stanowczo i otwarcie możemy powiedzieć i dać mu niejako wskazówkę na przyszłość: Albo p. Kijas jako doktór, niech będzie dla nas lekarzem, albo jako człowiek, dla którego podobna funkcya jest czemś niekoniecznem, a nawet zbytecznym ciężarem, — niech ustąpi. Wszak mamy innych lekarzy, którzy może poruczone sobie zadanie spełniać będą z sumiennością, — a jasnem jest chyba, że my tylko tej sumienności wymagamy.

Krzyk rozpaczy.

Otrzymujemy następujące pismo, charakteryzujące dosadnie nędzę żywota najbiedniejszych z pośród kolejarzy. Umieszczamy je bez komentarzy, tak, jak je nam przysłano, sądząc, że ten prawdziwy głos rozpaczy, wydzierający się z piersi nieszczęśliwych, mówi chyba dosyć wyraźnie i dosyć dobitnie. List pochodzi z Podgórza i brzmi:

Każda kategorya służby uskarża się publicznie na los swój w „Kuryerze Kolejowym“ i tylko myśmy dotąd milczeli, i tylko my nie wysłaliśmy dotąd skargi do naszego pisma, choć zaprawdę nasz los jest chyba najsroższy. Przemawiamy tu w imieniu szyberów, strażników przestrzeni, wajchenwechtrów, a więc w imieniu najbardziej wyzyskiwanych i oszukiwanych kolejarzy. Nie przesadzimy bynajmniej, jeżeli powiemy, że jesteśmy w istocie nędzarzami, walczącymi z głodową śmiercią, a zimna, bezlitośna nędza stała się już naszą nieodłączną opiekunką...

Żeby nas nikt nie posądził o frazesy, żeby nikt nie myślał, że to przemawia z nas wieczne tylko „niezadowolenie“, jakieś niezwykle wysokie pretensye, — podamy tu daty z naszego życia, daty niezbite, które same wystarczą na odmalowanie naszej nędzy.

Zaczniemy od płacy: jest nas tu 27, a tylko trzech zdołało szczęśliwie uzyskać „wysoką“ płacę 30 złr. Nie znaczy to naturalnie, żeby nawet ci trzej dostawali rzeczywiście tyle, wszak są jeszcze „abcugi“, które ratują sytuacyę tak, iż i ci nie dostają więcej jak dwadzieścia kilka złr. A reszta? są między nami tacy, którzy już służą 13, 15 i 20 lat., a pobierają miesięcznie po odliczeniu „abcugów“ 18 i 20 złr.! Czyż to — pytamy — może wystarczyć na utrzymanie rodziny? Czy wobec tego zadziwić kogo może nędza, widna nietylko w naszem mieszkaniu, widna nietylko w nędznym ubiorze, a raczej łachmanach, odziewających ciała naszych żon i dzieci, ale widna nawet w wychudłych, wyblakłych ich twarzach. Nie, zaprawdę, tu nie pomoże żadne gadanie o oszczędzaniu, tu nie pomogą żadne kazania o moralności, wstrzemięźliwości i innych takich cnotach, a jedyna rada na głód i nędzę: podwyżcie nam płacę, dajcie choć tyle, żeby żyć było z czego! Nadto jeszcze, gdy kto dostanie dekret na 21 lub 24 złr., to trzeba zapłacić za stemple 12 złr. 50 ct., a więc drogo opłaca się to „szczęście“, stanowiące całą przyszłość szybera lub strażnika. Jest wprawdzie nadzieja na awans, ale o tem nawet mówić nie warto: czeka się na taki „awans“ 5, 6 i 7 lat i wreszcie po tak długiem wyczekiwaniu „awansuje się“ o . . 3 złr.! Oto cała nadzieja nasza, oto nasz los i nasza „karyera“...

Dyrekcya dodaje jeszcze do tej płacy osobne kwaterowe; w wielkiej swej, wielkiej zaprawdę wspaniałomyślności wyznacza nam rocznie na mieszkanie 70 złr. I dostawszy taki dodatek, dopiero trzeba sobie głowę suszyć, co z tem zrobić. Mieszkania np. w Podgórzu są tak drogie, że trudno myśleć o tem, aby można gdzie było dostać choćby tylko ludzkie pomieszczenie za 70 złr. rocznie. Dyrekcya o to nie troszczy się wcale; rzuciwszy, jakby z łaski 70 złr., nie dba o to, czy te pieniądze będą mogły odpowiedzieć swemu celowi, czy wystarczą na przeznaczony wydatek. I tak płace nasze, razem wziąwszy, to jest niby coś, a w istocie nic nie jest: w każdym razie za mało, aby żyć można. Naturalna więc rzecz, że człek radzi sobie, jak może; siedzi się zatem po uszy w długach, bierze się przez cały miesiąc na kredyt i pożycza, gdzie się tylko da, a jak przyjdzie pierwszy, to doprawdy nie wiedzieć, czy zwrócić długi, czy użyć pieniędzy na to, czego potrzeba koniecznie.

Na takiej podstawie pieniężnej nie może się wznieść żadna inna budowa, jak tylko nędza, dziurawa, waląca się z dnia na dzień. Służba nasza jest bardzo ciężka i należy z pewnością do najcięższych na kolei wogóle; 24 godzin musi się być bez przerwy w ruchu, ciągle na otwartem powietrzu, bez względu na pogodę. Deszcz czy śnieg, upał czy mróz — zawsze pełni się służbę bez najmniejszych środków ochronnych, narażeni ustawicznie na różnorodne choroby. Nie potrzebujemy chyba dodawać, że służba np. zwrotniczego pociąga za sobą ogromną odpowiedzialność; zwrotniczy jest w pierwszym rzędzie odpowiedzialny za wszelkie możliwe przypadki. Czy to słuszne, a raczej czy w obecnych stosunkach godzi się nakładać takie brzemię na nas, najbardziej uciskanych, — to znowu pytanie, którem świetna dyrekcya nie chce się zająć.

Dla uzupełnienia obrazu naszego położenia musimy opisać, jakim to ubiorem urzędowym obdarza nas dyrekcya. Zdawałoby się, że przynajmniej w służbie mamy jaką taką odzież i że c. k. kolej państwowa wstydziłaby się poprostu, gdyby jej funkcyonaryusze chodzili w łachmanach. A przecież tak jest. Zdumienie ogarnie niejednego, jeśli przeczyta, że np. parę spodni dostajemy na rok, bluzę sukienną na 3 lata, kożuch mamy nosić 6 lat i t. d. Mówiąc krócej, obowiązani jesteśmy nosić wszystko dopóty, aż

samo na nas nie zgnije. Nie mówimy już o tem, że wprost niemożliwem jest utrzymać odzież tak długo w należytym stanie i że wskutek tego wyglądamy wszyscy, jak żebracy, — ale podobny przymus wykracza przeciwko pierwszym zasadom czystości i zdrowia. A jak przytem jaskrawo uwydatnia się brudota i sknerstwo naszych dostojników, którzy z pewnością codzień inne wdziewają ubranie. Nam zaś każą przez sześć lat w służbie i poza służbą, w zwykły dzień, niedzielę i święto chodzić w jednym kożuchu! Wszystko fraszka, byleby było oszczędnie... Może to nie najważniejszy, ale w każdym razie jeden dowód więcej, jak nami pogardzają, jak nas lekceważą na każdym kroku, za to chyba, że pracujemy jak woły robocze ciągle i ulegle. I oto dziś nareszcie zdobyliśmy się na odwagę i postanowiliśmy prosić naszej redakcyi o umieszczenie tego pisma. Niechaj świetna dyrekcya nie lekceważy tego naszego głosu, niech uważnie przeczyta ten opis naszego życia, któremu jeszcze daleko do tego, aby dokładnie i należycie rzecz całą odmalował. Wiemy sami, że pominęliśmy dużo rzeczy, któreby mogły jeszcze lepiej oświetlić nasze położenie, ale panowie, nie zapominajcie, że tego nie pisze widz obojętny, że to skreślone naszą krwią serdeczną i że nikt dobrowolnie rany swej nie jątrzy.

Jeżeliśmy się zdecydowali przedstawić tu najboleśniejsze strony naszego życia, to przedewszystkiem w tej nadziei, że dyrekcya, pod której kierunkiem pracujemy, usłyszy nasze wołanie i nie przejdzie nad niem do porządku dziennego. Niechże ta dyrekcya sama rozważy, czy żądamy czegoś nadzwyczajnego, czy te małe pretensye nasze nie dadzą się w żaden sposób spełnić.

Za naszą pracę, za ciężką mozolną pracę my wołamy tylko chleba dla nas samych, chleba dla żon naszych, chleba dla naszych dzieci!

Szyberzy, strażnicy i robotnicy stacyi Podgórze-Płaszów.

KRONIKA.

Dyrekcya krakowska widocznie niechętnem patrzy okiem na skargi, umieszczone w „Kuryerze", na żądania w nim wyrażone i pragnie — zdaje się — bardzo nie słyszeć wciąż tych głosów donośnych a bolesnych, jakich pełne są łamy naszego pisma. Narzekania i żale, wypowiadane nieraz w sposób bardzo dosadny i stanowczy, rażą uszko delikatne p. Kolosvary'ego i jego przybocznych adjutantów. Ileż to razy głosy te przerywały im spokojną drzemkę w miękkim fotelu przy dygnitarskim biurku!... Toż nie dziw, że świetna dyrekcya zawrzała strasznym gniewem i rozpuściła sforę psów gończych w celu wytropienia owych „zbrodniarzy", którzy jej nawet spać spokojnie nie dają. A skoro te tropienia żadnych nie przynoszą rezultatów, to ta świetna dyrekcya mści się przynajmniej na tych, którzy jej wydają podejrzanymi. Mówimy o zdarzających się obecnie coraz częściej wydaleniach ze służby, skierowanych przeciwko ludziom, którzy nie nauczyli się jeszcze dość nisko uginać karku przed wysoką władzą. Niechaj to będzie nawet kolejarz, pracujący uczciwie od szeregu lat w swoim zawodzie, skoro tylko nie umie się dobrze płaszczyć, nie umie lizać i pełzać, niepewny jest swego losu. Kto bowiem, przestrzegając godności osobistej i zawodowej, uważa się za wolnego człowieka, któremu wolno czuć i myśleć, ten zaliczany jest przez krakowską dyrekcyę do „niebezpiecznych", tego strzedz się należy, bo może wykryć dużo brudnych sprawek i podać je do „Kuryera". Więc takich ludzi, po kilkunastu latach ciężkiej służby, wyrzuca się poprostu na bruk, z niesłychaną brutalnością oddaje się całe rodziny na pastwę głodu i nędzy. I to wszystko dzieje się pod kierunkiem na wskroś „chrześcijańskiego" dyrektora, na rozkaz człowieka, który uważa się za ojca i opiekuna „chrześcijańskich" robotników! Bo czyż można na seryo mówić, że każdą sprawę rozpatruje naprzód „bezstronnie" komisya dyscyplinarna, a dopiero jej wyrok rozstrzyga o losie dotyczącej jednostki? Komisya dyscyplinarna jest dziś tylko najłatwiejszym, bo pozornie prawnym sposobem wykonania wyroku, który zapadł już przedtem przed wytoczeniem dyscyplinarki. Naprzód upatruje się ofiarę, którą należy wyrzucić, a dopiero celem wykonania tego haniebnego wyroku wytacza się jej dyscyplinarkę. I czy kiedykolwiek dochodzenie skończyło się inaczej, jeśli dotyczyło tych „podejrzanych o stosunki z socyalistami?" Więc cała komisya to źle odegrana komedya, a istotna wina spada na samą dyrekcyę. Mieliśmy w ostatnich czasach przykłady, że ludzi zupełnie niewinnych wyrzucono bezwzględnie, chociaż komisya dyscyplinarna nie była w stanie udowodnić im jakiegokolwiek przekroczenia. Ale to byli ludzie dla dyrekcyi „podejrzani"... I oto jakich dyrekcya p. Kolosvary'ego chwyta się sposobów: chcąc pozbyć się słusznych ataków, usuwa ludzi, którzyby mogli stać się jej niewygodnymi. Zamiast zabrać się do wyprania brudów, ona te brudy pokrywa troskliwie i tylko o to się stara, aby nie było nikogo, ktoby je wywlókł na światło dzienne. Zamiast usuwać powody skarg i narzekań, ona chce ludziom kneblować usta, pozbawić ich głosu, odebrać im swobodę myślenia i działania. Ale to trud daremny!... Żadne wydalenia, żadna dyscyplinarka, żaden najbrutalniejszy krok ze strony dyrekcyi nie uwolni jej od naszej kontroli. Prześladowania i gwałty ze strony władz kolejowych to dla nas nie nowina. A jak dotąd wszystkie szykany i bezprawia, tak i te świeże objawy „chrześcijańskiej opieki" krakowskiej dyrekcyi będą miały tylko jeden skutek: podwoją nasze siły — pomnożą chęć do walki.

P. inspektor Makarewicz to ciekawy doprawdy człowiek. Niedawno miał ten pan sposobność rozmawiać z jednym kolejarzem, wyrzuconym za podejrzenie, jakoby utrzymywał stosunki z „Kuryerem Kolejowym". Kiedy niewinny ów człowiek, pracujący uczciwie lat kilkanaście w usługach kolei, przedstawił p. inspektorowi krzywdę, jaką mu wyrządzono i domagał się sprawiedliwości, wówczas rzekł mu p. Makarewicz: „Idź pan do socyalistów, do „Kuryera", tam niech panu dadzą chleb!" P. Makarewicz nie zawahał się odesłać do nas człowieka, który w służbie kolei stracił zdrowie i siły; p. Makarewicz miał tyle cynicznej bezczelności odprawić z niczem kolejarza, który pracą swoją przysporzył kolei tyle zysków, miał tę zuchwałą odwagę drwić z nędzy robotnika, który życie — rzec można — złożył na ołtarzu zawodu. Ten pan Makarewicz to istotnie zdolny, typowy uczeń Guttenberga; tyle brutalności, tyle cynizmu w jednym człowieku to chyba tylko niedziwne wtedy, jeśli tym „człowiekiem" jest dygnitarz kolejowy. Ale jeśli taki p. Makarewicz sądzi, że istotnie jest tak wielką potęgą, jak to opowiadał owemu kolejarzowi, iż go „socyaliści nie dosięgną", to musimy mu oświadczyć, że myli się bardzo. Myśmy go już nietylko dosięgli, ale obaliliśmy nawet dawno; z chwilą, kiedyśmy zdolali doprowadzić do tego, że każdy uczciwy kolejarz pluje z pogardą na takich Makarewiczów, odnieśliśmy już nad nim i jemu podobnemi stworzeniami stanowcze zwycięstwo. I to niech sobie p. inspektor Makarewicz zapamięta, że istota, dla której mamy w głębi duszy najżywszą pogardę, nie istnieje dla nas wcale...

Wielkie niebezpieczeństwo grozi naszej organizacyi, a raczej tym kolejarzom, którzy należą do dawnych kół zawodowych, nie wyrzekli się jeszcze myśli założenia nowej organizacyi. Oto dyrekcya krakowska postanowiła zadać nam cios śmiertelny i założyć przed nami stowarzyszenie kolejowe. Tak jest w istocie, dyrekcya pragnie tego gorąco, aby „jej" kolejarze mieli stowarzyszenie, któreby broniło ich interesów i użyczało pomocy. Może się to komu dziwnem wydawać, jak obrona interesów kolejarzy może się pogodzić z opieką dyrekcyi, ale nasza dyrekcya wygładza takie sprzeczności z zadziwiającą łatwością. Nie nadarmo przecież jest p. Kolosvary ojcem chrzestnym tylu sztandarów przyjaźniackich... Otóż prawdopodobnie chciałby on jeszcze przed śmiercią trzymać do chrztu nowe dziecię: sztandar specyalnie kolejowy. W tym celu zwołano (kto? — niewiadomo) zebranie kolejarzy dnia 3 b. m. na dworcu kolejowym, a troskliwa dyrekcya wysłała na nie swego reprezentanta. Podobno miał przybyć sam p. Piasecki, ale namyślił się i wysłał w zastępstwie jakiegoś p. Otto. Nie jesteśmy zresztą zupełnie pewni, czy ten p. Otto nie przybył z własnego natchnienia, ot tak, z „życzliwości dla podwładnych". Na zgromadzeniu zdania były bardzo podzielone: zastanawiano się, czy utworzyć „bractwo" (?) kolejowe, czy jakąś „bratnią pomoc", — a znalazł się nawet śmiałek, który zaproponował, żeby zebrane pieniądze złożyć na fundusz prasowy „Kuryera Kolejowego". Można sobie wyobrazić oburzenie zebranych, którzy zebrali się na podobne narady, a musieli znieść podobny wybryk, uwłaczający powadze zgromadzenia... P. Otto nie miał podobno słów na zmiażdżenie owego śmiałka i dlatego zadowolnił się tylko jakimiś wykrzykami, które zresztą niektórzy kładą na karb nieprzespanej nocy. Zdaje się, że ten jegomość nadaje się raczej do wszystkiego, niż do „reprezentowania" tak świetnej instytucyi, jaką jest krakowska dyrekcya. Zresztą najważniejszym punktem obrad było podobno to, jak ma wyglądać przyszły chrześniak p. radcy i jaką matronę zaprosić na matkę chrzestną... Poczem zebrani (których z natury rzeczy było nie dużo, przyjść mogli bowiem tylko „wybrani") rozeszli się do domu z miłem uczuciem spełnienia swoich obowiązków. P. Otto — o ile słyszeliśmy — zdał ze zgromadzenia relacyę, w której zaznaczył, że istnieją „najlepsze widoki na przyszłość"...

Ehrenberg, redaktor „Głosu Narodu", został w tych dniach publicznie na rynku krakowskim spoliczkowany. Nikczemne to stworzenie, którego przynależność do rodu ludzkiego robi tylko wstyd ludziom, ten szubrawiec, napadający zawodowo na cześć i honor ludzki, otrzymał nareszcie zasłużoną nagrodę. Wprawdzie było już dosyć czasu i do podłych łgarstw i obelg tego rynsztokowego płodu, ale konieczność wymaga częstokroć kopnąć i świnię nawet, jeśli wyprowadza człowieka z granic cierpliwości. To, co Ehrenberg pisał w swojej szmacie o naszej partyi i jej najlepszych członkach, to jego wściekłe ujadanie na najuczciwsze jednostki, wymagało właśnie kopnięcia i Ehrenberg je otrzymał. Dn. 5 b. m. popołudniu o godz. 3 tow. Kaczanowski, współpracownik „Prawa Ludu", spostrzegłszy Ehrenberga, idącego właśnie do swego legowiska, do redakcyi „Głosu Narodu", przystąpił do niego i ze słowami: „To ty w nikczemny sposób napadłeś na posła Daszyńskiego!" wymierzył mu dwukrotnie policzek. Spoliczkowany łotr starał się użyć laski, ale jeden z obecnych wyrwał mu laskę, w której — jak się okazało — znajdowała się gruba gumowa kiszka, mogąca zadać cios śmiertelny. Ehrenberg wystraszony, zaczął drżącym głosem wołać policyi. Tymczasem tow. Kaczanowski sam już udał się do dyrekcyi policyi i prosił o spisanie protokółu. Za nim przybył Ehrenberg, a oświadczając na zapytanie dyrektora policyi, który mu w ten sposób myśl tę podsunął, że się nie czuje bezpiecznym, spowodował aresztowanie tow. Kaczanowskiego. Był to istotnie wypadek nadzwyczajny; aresztować kogo za to, że dał w twarz drugiemu, co zazwyczaj pociąga za sobą tylko pieniężną karę. Ale Ehrenberg, wyjąc z wściekłości, nie zadowolnił się tem i tak długo wyrzucał władzom niedbalstwo w całem zdarzeniu i brak energii, że skłonił je do aresztowania jeszcze tow. Tellera, który wyrwał mu laskę i ekspresa Babraja, który mu później przytrzymał ręce. Całe wogóle zajście starał się ten łotr, który nie cofa się nigdy przed żadnem łgarstwem, przedstawić jako napad zbójecki na swoją zacną osobę. Szczeka, kąsa, judzi i zdaje się czeka na powtórzenie... Sąd krakowski okazał się dziwnie uległym wobec fałszerza opinii publicznej: tow. Kaczanowki dotąd siedzi w więzieniu, dwóch innych aresztowano dopiero przed kilku dniami, słowem zapowiada się wielki proces o... policzki Ehrenberga. Prokuratorya wniesie prawdopodobnie oskarżenie o gwałt publiczny.

Jak to wytłómaczyć? Wiedeńska „Arb.-Ztg." podaje ciekawy fakt, rzucający dziwne światło na porządki, jakie panują w zarządzie naszych kolei. Jeden z inżynierów dawnej kolei morawsko-śląskiej prosił podczas upaństwowienia tej kolei o spensyonowanie i uzyskał od ówczesnego prezydenta Bilińskiego przyrzeczenie, że stanie się zadość jego prośbie. 1 sierpnia 1895 r. inżynier ów wystąpił z kolei i powinien był naturalnie otrzymać pensyę natychmiast. „Tymczasem" — pisze „Arb.-Ztg." — „ów inżynier, który d. 1 sierpnia 1895 r. opuścił służbę, nie dostał ani centa aż do chwili, w której piętnujemy to niezwykłe opóźnienie w wypłacaniu pensyi." Pytamy więc, jak wytłómaczyć to opóźnienie? Obliczenie pensyi zajmuje przecież bardzo niewiele czasu. Statut pensyjny daje za nią rękojmię. Czy wspomniany urzędnik ma dopiero wnosić liczne podania, aż mu pensya wspaniałomyślnie zostanie przyznaną? Może przecież p. minister kolei żelaznych znajdzie tyle czasu, i każe rzecz dokładnie zbadać, ażeby ów inżynier wreszcie, po 2½ latach doszedł do swego prawa, do swojej pensyi".

Odpowiedzi Redakcyi.

J. S. w Stanisławowie. Żądanych rzeczy nie posiadamy, można jednak otrzymać „Pragmatykę służbową" przez jedną z księgarń krakowskich.

Bezpłatnej porady prawnej udziela się w redakcyi „Naprzodu" zorganizowanym towarzyszom we wtorki, piątki i niedzielę od godziny 11 do 1 w południe, a nadto w każdy wtorek i piątek od godziny 7 do 9 wieczorem.

Datki na fundusz prasowy polskiego dziennika socyalno-demokratycznego należy nadsyłać do redakcyi ktoregokolwiek z polskich organów socyalistycznych, lub wprost do komitetu wykonawczego na ręce tow. Szczepana Kurowskiego. Krakow, ul. Mikołajska l. 9.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Jan Englisch. Drukiem A. Słomskiego w Krakowie.